

## Miłość nie umiera

Stanął obok i objął mnie ramieniem. Wielka równina rozciągała się przed nami. Nigdzie ani jednego drzewka. Jak okiem sięgnąć równa gładź.

- To przyszły plac naszego boju - powiedział.

Boju o co? O lepsze jutro...?

- Nie martw się - spojrzał mi w oczy - jeśli umrę to śniąc o Tobie. Nigdy ciebie nie zapomnę. Nigdy.

Patrzyłam mu w oczy. Nie było w nich strachu, tylko bezgraniczny smutek. Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej. Jedna jedyna łza spłynęła po moim policzku. Niebo pokryły szare chmury. Nienawidziłam wojny...

Noc. Śpi przy mnie. Być może ostatni raz miejsce obok mnie będzie wypełnione jego ciałem. Jego zapach, dotyk i ten równomierny, spokojny oddech. Jest idealny. Jego wady to tylko dopełnienie perfekcjonizmu.

Delikatnie musnęłam jego włosy ustami. Otworzył oczy. Leżeliśmy i patrzyliśmy sobie w oczy. Jego palce zgrabnie owijały pukle wokół dłoni. A później podniósł rękę i przejechał całą jej powierzchnią po moim ramieniu. Później pogładził mój policzek i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nie trzeba było nam słów. Wszystko było jasne. A to była ostatnia nasza noc. On to czuł. Wiedział i nie chciał tak jak innymi razy skradać gorących pocałunków z moich warg, nie chciał opuszkami palców pieścić mojej tali. Chciał mnie zapamiętać w każdym szczególe. Taką jaką byłam. Leżałam przy nim nago. Włosy potargane układały się niedbale na poduszce i w tym było całe sedno całkowitej doskonałości. Każdej linii i kształtu. Nie mogłam uwierzyć, że już jutro nie obejmie mnie ramieniem, nie szepnie zaczepnie do ucha: "Czy mnie jeszcze moja rusalka kocha?". Nie pobiegniemy razem do sadu najęść się jabłkami. Nie będziemy razem leżeć na łące, ani pływać w jeziorze. Nie zrobi mi już wianka na głowę i nie popatrzy tymi swoimi cudownymi oczyma. Już nigdy nie powie, że jestem jego najdroższą, jego ukochaną, jego jedyną, tylko Jego. Bezsilność... Moje serce łomotało, łomotało coraz mocniej... Czas uciekał. Nie wiem kiedy, ale zasnęliśmy. Obudziłam się rankiem. Nie było go obok. Zamiast tego leżał bukiet polnych stokrotek i mały liścik. Niezgrabne literki - ukochane literki. Napisał: "Kochana rusalko! Nie płacz- Kocham Cię!!!". Zapach kwiatów miał jego zapach, a litery dźwięk jego głosu. Płakałam chociaż mi zakazał. Ubrałam lnianą sukienkę, związałam włosy i wyszłam na łąkę. Daleko, daleko był mój kochany. Za tamtym wzgórzem z wierzbami. Wierzyby szło chały, szło chałam i ja pośrodku pola, daleko od domu, ale blisko Niego. Dlaczego jestem taka słaba, dlaczego... bezsilna. Nienawidzę wojny.

Zapadał zmierzch. Niebo nie wytrzymało ciężaru dzisiejszej zbrodni - runął deszcz. Poszłam boso, w lnianej sukience przez pole. Słońce zachodziło tak samo jak tam przy nich, jak przy tych co umierali. Szłam. Minęła noc. Nie spałam. Szłam. Nogi krwawiły - i co z tego? Szłam. Następnego wieczoru doszłam do polany. Słońce żegnało się ze mną i z nimi... Dziś skończyła się jedna bitwa, ale nie cała wojna. Trwała tyle godzin, tyle sekund... Zbyt wysoka cena- zbyt wiele mi zabrano. Weszłam na wzgórze potykając się. Przy drzewie leżał jakiś żołnierz. Nie nasz. Miał strzałę wbity w pierś... Popatrzył na mnie. Błękitne oczy, oczy pełne szczerości i smutku.

- To jesteś ty? On prosił, żeby ci to dać...

Rozprostował z trudem palce i sięgnął do drugiego boku swojego bezwładnego ciała. Trzymał w rękę wianek, w który wpleciona była Jego chustka od matki. Biała niegdyś, splamiona krwią teraz. Podał mi wianek i złapał za ręce, przyciągnął ostatkiem sił do siebie i wyszeptał na ucho: był dzielny... Chłopak o błękitnych oczach umarł. Przymknęłam jego powieki dłonią. Niebo płakało razem ze mną. Cichutko, nie tak jak wczoraj, gdy była burza, gdy wiał silny wiatr i smagał moją twarz. Wstałam. Ruszyłam ku polanie. Zza chmur wyszło słońce i oświetliło plac boju. Całe było usłane ludzkimi ciałami. Ujrzałam wbity w ziemię chorągiew. Obok stał Jego koń. Pochylony ku ziemi... Wzięłam wierzchowca, który stał tuż na samym skraj polany... Złapałam rękoma siodło. Nie miałam siły wspiąć się na niego... Spadłam. Koń zarżał jakby zawiedziony. Podbiegł do zwałonego niedaleko pnia i stanął. Zwrócił głowę ku mnie jakby zachęcając do ostatniego wysiłku. Podeszłam chwiejąc się. Weszłam na zwałony pień i wdrapałam się na grzbiet konia. skierowałam go wprost na środek pola. Daleko w jego głębi leżał mój ukochany. Lekko cmoknęłam, nie miałam siły ścisnąć go łydkami. Złapałam się mocno jego bujnej grzywy. Pogalopowałam... Nie, pofrunął do Niego ze mną na grzbiecie. Złapałam wodze i pociągnęłam do siebie. Stanął tuż obok niego. Leżał na brzuchu trzymając kurczowo chorągiew. Zsunęłam się z końskiego grzbietu i podczołgałam do niego... Przewróciłam go na plecy. Żył! Spojrzył na mnie i uśmiechnął się.

- Nie płacz rusalko... - wyszeptał.

- Uratuję cię, zawiozę, wyleczymy cię... - szlochałam...

Przytknął mi palec do ust. Podciągnął się i oparł o czyjeś ciała. Przyciągnął ramionami. Odstonił koszulę na swoim boku. Białe kawałki drzewdzca sterczały z jego ciała. Skrzywił się w bolesnym grymasie i obciął koszulę.

- Wiedziałem, że przyjedziesz Rusalko. Musisz zjeść, napić się wody... - przerwał, zabrakło mu sił.

Popatrzył na mnie.

- Musisz mi coś obiecać. Obiecaj, że przeżyjesz, wrócisz do domu...

Patrzyłam na niego. Nie mogłam nic powiedzieć, nie mogłam obiecać...

- Proszę...

- Dobrze. - szepnęłam.

Uśmiechnął się. W jego oczach pojawił się blask.

- Powiedz im, że tak kazał Khran. Dowódca tamtych wojsk. My przegraliśmy. Oni lada dzień tu będą. Znajdą cię, złapią... Powiedz im to i daj ten pierścień - włożył mi srebrny pierścień w dłoń i zacisnął ją swoimi placami. - On mi to obiecał...

Przerwał znowu. Popatrzył na mnie. Pocałował mnie ostatni raz.

- Boże, Rusalko. Jaka ty jesteś piękna...

Przytuliłam go. Ostatni raz czułam jego silne ramiona. Po chwili jego uścisk zelżał. Umarł...

Myślałam, że złamię dane mu przyrzeczenie. Leżałam przy nim. Wtulona w jego ciało. Chciałam odejść razem z nim. Początkowo łzy leciały same... Ale później nie miałam już nawet siły płakać. Minęło kilka dni. Nie wiem ile. Leżałam przy nim, a nad nami stał Jego najwierniejszy przyjaciel. Nie opuścił nas... Tego dnia było pałace słońce, ale nie chciałam się ruszyć, nie miałam siły... Leżałam z nim... Jego ciało nie rozkładało się. Tak jakby czekał aż odejdę... Ktoś mnie podniósł. Popatrzył mi w oczy. Wziął moją zaciśniętą dłoń, rozprostował palce i wyjął z niej pierścień. Włożył na swój palec i uśmiechnął się do mnie... Okrył mnie kocem i wziął delikatnie na ręce...

Jeszcze raz pokochałam. Ale On na zawsze pozostał we mnie...